№ 21.

Warszawa dnia 14 (26) Maja r. 1866.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1.
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

ŻYWOT

MIKOŁAJA MACHIAWELA (1)

PRZEZ

MACOULAYA.

Wątpiemy, powiada autor, aby jakiekolwiek imię w historji literatury, było tak nienawistnem, jak imię człowieka którego charakter i dzieła mamy zamiar rozebrać. Wyrażenia któremi zwykle go opisują, dają niejako do zrozumienia, że był kusicielem, początkiem złego, twórcą ambicji i zemsty, pierwszym wynalazcą krzywoprzysięztwa i że aż do chwili wydania fatalnego *In principe*, nie było w świecie ani fałszu, ani udanéj cnoty. Pewien uczony z zupełną powagą zapewnia, że Maurycy Saski nauczył się swéj kłamliwéj polityki z téj przeklętéj książki. Lord Litton przypisuje biednemu Florenczykowi liczne zdrady familji Guizów i rzeź św. Bartłomieja. Niektórzy pisarze robią uwagę, że spisek prochowy w Anglji w r. 1607 mający na celu wysadzenie prochem całego parlamentu, trzeba przedewszystkiem przypisać jego nauce i wyrażają zdanie, że wizerunek Machiawela, powinien zająć miejsce lalki, wyobrażającéj Gaja Foksa w tych processjach, któremi naród angielski corocznie święci ocalenie tronu i parlamentu (1).

Kościół rzymski nie omieszkał rzucić klątwy na jego dzieła. Z nazwiska ukuto epitet łotra, a z jego chrześcjańskiego imienia utworzono synonim czarta. Machiawel według przyjętego znaczenia, jest to szalbierz, kręt, człowiek bez czci, bez wiary, który aby dopiąć zamierzonego celu, nie wacha się poświęcić honoru, sumienia, słowem wszystkiego, co stanowi godność natury ludzkiéj. Bliższe zatem poznanie żywota tego sławnego męża i dzieł przez niego napisanych, równie będzie nauczającem jak i zajmującem.

Mikołaj Machiawel urodził się we Florencji w Maju roku 1469. Ojciec Bernard był radcą prawnym i skarbnikiem ankońskiéj Marchii. Jego matka Bartolomeja Nelli pochodziła ze starożytnego szlacheckiego rodu, a przez swoich przodków złączoną była z najsławniejszemi ludźmi Florencji, jednakże majątek obojga małżonków, wcale nieodpowiadał starożytnemu ich rodowi. Nic jednakże ojciec nie szczędził, dla wykształcenia syna, a matka zajmując się poezją godnie popierała swego męża.

Z pierwszéj młodości Machiawela, wiadomo jest tylko że w r. 1484 był przy Wirigilim sekretarzu Rzeczypospolitéj Florenckiéj kopistą i ekspedytorem. Mając lat dziewiętnaście został kanclerzem drugiéj kancelarji i sekretarzem urzędu dziesięciu magistratury wolności i pokoju. Była to służba stanowiąca rząd Rzeczypospolitéj przy którym Machiawel zostawał przez lat przeszło 14. W przeciągu tego czasu miał sobie poruczone 23 zagranicznych poselstw, mimo niezmiernie licznych obowiązków dotyczących spraw wewnętrznych kraju.

---

(1) Streszczony z artykułu p. t. Rozbiór dzieł Mikołaja Machiawela przez Macoulay'a pomieszczony w tomie III i IV Pamiętnika Naukowego Dra Karola Gregorowicza.

(1) Jeden z głównych spiskowych Guy Foks, schwytany na miejscu zbrodni z latarnią w ręku, kiedy się już przygotowywał podpalić beczki z prochem pod salą posiedzeń parlamentu, został stracony. Odtąd corocznie paloną bywa lalka mająca przedstawiać Foksa.

Ówczesny stan rzeczy we Włoszech był równie zawikłany jak i w całéj Europie. Na tym półwyspie rozprawiali się między sobą Niemcy, Francja i Papież. Święta stolica zagrożona była reformą. Sawanarola ogłaszał panowanie demokracji. Medyceusze wypędzeni z Florencji przez partją ludową, wichrzyli w celu dojścia do władzy. Idea jedności Włoch przynosząca Machiawelowi chwałę jako swojemu twórcy, nurtowała skrycie w umysłach a jednocześnie stare partje Gwelfów i Gibellinów, pracowały podstępnie a czasami za pomocą zbrodniczych środków nad przywróceniem kapłańskiego rządu.

Różne wypadki wysnuwały się jak w starożytnéj tragedji a Machiawel obecny na placu boju, jeżeli nie zawsze z pewnością umiał oceniać nagłe zmiany wyniknąć mające z téj walki, to przynajmniéj mocno uczuwał niezmierne wstrząśnienia odbywające się w wielkich umysłach. Jako urzędnik florenckiego rządu mąż publiczny i prywatny, zawsze zostawał w drugim rzędzie, ale jako myśliciel szedł na czele swojego wieku. Dla należytego ocenienia, potrzeba w nim odróżnić człowieka i pisarza.

Jako pisarz, jest on założycielem nowéj nauki czyli nowéj polityki i w niéj to streszcza ducha zupełnego odrodzenia: jako człowiek, żyje po prostu nie wiedząc nawet o swoim genjuszu. Życie jego ubiegało, jakby oświecone półświatłem, składało się z mnóstwa zatrudnień zawsze będących zdala od wszechwładnego kierunku. Nawet jako sekretarz *dziesięciu*, nie jest Machiawel mężem politycznym, jest on tylko wyższym urzędnikiem umiejącym robić uwagi, ale zawsze obowiązanym wypełniać rozkazy. Słowem żył po obywatelsku z pewnym bardzo ograniczonym wpływem nie mając innego widoku jak tylko ten, żeby się mógł wyżywić z urzędu, choćby nawet przy lichem wynagrodzeniu, jak to widzi się go w licznych poselskich przejściach, podczas których kłopocząca go zawsze kwestja jego osobistych finansów, tyle go zajmowała co i polityka. I tak, w depeszy pisanéj w r. 1500 w Montargis, mocno się skarży że ma tylko cztery liry dziennie, kiedy jego towarzysz Franciszek Della Caza miał ich ośm.

— „Wydałem“ — powiada — „tyle co i Franciszek, proszę więc was dostojni panowie, żebyście zezwolili, abym dostał tę samą co on płacę, bo inaczéj zubożeję, a wiem że to wam będzie przykro.“

To utyskiwanie nie jest mową męża odgrywającego wielką polityczną rolę. Skargi tego rodzaju powtarzają się w depeszach Florenckiego sekretarza i to jeszcze z tak szczególnym i uniżającym naciskiem, że smutno jest pomyśleć, iż wychodziły od tak znakomitego męża.

Wydałem na mulicę, donosi w liście z r. 1503— „dukatów 18 na aksamitny płaszcz duk. 11, a dla ochronienia się od deszczów za drugi płaszcz duk. 10. Pisze nadto, że mieszka z dwoma służącemi w oberży, że żywność jest droga i t. p.

Około roku 1504 lub 1505, Machiawel ożenił się z Florentyną Maryetą Kossyni, nie wiadomo czy z miłości czy z interesu. Przy urzędzie zatrudniał się jeszcze historją, poezją i obmyślaniem organizacji politycznéj i wojskowéj dla rzeczy pospolitéj Florenckiéj. W r. 1505 zajęła go myśl zastąpienia *Condotierów* armją narodową. Projekt został przyjęty, w wykonaniu jednakże natrafił na nieprzezwyciężone trudności, bo wyprzedzając wiek w którym żył, przemawiał wówczas, kiedy stronnictwa zawsze gotowe do szarpania się nie mogły utworzyć z siebie armji, z tego już jednego powodu, że same nie tworzyły narodu.

Napróżno też mąż odrodzenia wskazywał drogę postępowania, pisał instrukcje, napróżno urząd dziesięciu mianował dziewięciu oficerów florenckiéj milicji do robienia poboru *w imię Wszechmocnego Pana i Jego sławnéj Matki, S. Maryi, nieskażonéj dziewicy i sławnego poprzednika Chrystusa, Jana Chrzciciela patrona protektora i mistrza Rzeczypospolitéj.* Ci bowiem co ustanawiali armją byli Gibelinami, rozkazującemi doboszom bębnić marsze wzięte od Germanów.

(d. n.)

MIESZKAŃCY JEZIORA MARAKAIBO

(z angielskiego).

Łańcuch Andów rozpoczynający się na krańcach Ameryki Południowéj, ciągnie się przez całą długość stałego lądu, przebywa Amerykę środkową i Mexyk, i tak dochodzi aż do morza lodowatego. Ogromne te góry dzielą się i rozchodzą w wielu miejscach i tworzą jakby oddzielne gór łańcuchy, otaczające rozległe doliny, rozpościerając swe równe płaszczyzny na téj wielkiéj wysokości; niektóre piętrzą się przeszło o dwa tysiące metrów nad powierzchnią morza, i na takich to wznoszą się najznakomitsze miasta Mexyku i Peru.

Spojrzawszy na mappę, rozległe te góry rozdzielające się w różne gałęzie, wyglądają jakby drzewo genealogiczne, kilka przedstawiające pokoleń. Zajmiemy się tu tylko gałęzią ciągnącą się na wschód. Dochodząc do siódmego stopnia szerokości północnéj, gałęź ta rozdziela się na dwa skrzydła; długo rozstrzelone i w różnym biegnące kierunku, zakrzywiają się nareszcie i pochylają ku sobie, jakby w chęci połączenia. Skrzydło zachodnie śmiało zmierza do celu; zaś skrzydło prawe, długo niepewne i wachające jaką obrać drogę, odwraca się nareszcie od swego starego towarzysza i śmiało zwraca na wschód, ginąc w przylądku Paria.

Całość jednak nie poszła ich śladem; gdy główny korpus wachał się niepewny którą obrać drogę, wielka jedna gałęź oddzieliła się i pobiegła na zachód, goniąc za lewem skrzydłem; nie połączyły się jednak z sobą, ale zajrzawszy sobie w oczy, nagle zatrzymały się i zamiast utworzyć koło, zakreśliły jakby podkowę.

Ta podkowa z gór, nadzwyczaj mocno zagięta, okala wielką dolinę, w pośród któréj błyszczy powierzchnia wody, zajmująca trzecią część całéj rozległości.

Pierwsi Europejczycy którzy odkryli tę ogromną przestrzeń wody, nazwali *jeziorem Marakaibo*, od nazwiska miejscowego kacyka, napotkanego na wybrzeżu. Jednak chociaż od chwili tego odkrycia, tak długie już upłynęły lata, jezioro Marakaibo i otaczające go terrytorium jest jeszcze tak mało znane, jak gdyby go otaczały niezgłębione puszcze Afryki.

A jednak jest to okolica nadzwyczaj zajmująca, posiada właściwą sobie faunę i najbogatszą w świecie florę, jako też wszystkie niemal rośliny znajdujące się w podzwrotnikowéj Ameryce. Z roślin uzdrawiających mamy tu sassafras, sasaparyllę, kopajwę, chinę, a obok strasznych trucizn barbasko i kurary, rośnie zaraz antydotum gwajak i mikania guako. Handel czerpie ztąd indygo, orlean, brazylię, sandragan, te powszechnie znane materjały farbiarskie, a stolarze i lutniści, najrzadsze, najkosztowniejsze drzewa do swoich wyrobów.

Dotąd jednak wszystkie te bogactwa marnieją niemal bezużytecznie, skutkiem nieodpowiedniéj eksploatacji. Kilka nędznych osad nad brzegiem jeziora, gdzie niegdzie licha wioszyna lub kilka rozrzuconych rybackich szałasów, tu i owdzie pojawiająca się gromada bydła lub plantacja koki, oto jedyne, dające się tu napotkać ślady obecności ludzi.

Brzegi jeziora Marakaïbo odznaczają się płytkością wody. Roztaczając się na pochyłości podnóża góry, któréj ostatnie załamy giną w dolinie, jezioro jest tak niegłębokie przy brzegach, że w niektórych miejscach można przejść parę tysięcy kroków, aż nagle brakuje gruntu, i zaczyna się niezmierzona otchłań wody.

Daléj, jezioro to odznacza się szczególniejszym fenomenem, który od czasu Krzysztofa Kolumba, nie przestaje zajmować ciekawych i wprawiać w kłopot uczonych, ponieważ dotąd nie zdołali jeszcze rozwiązać go zadawalniająco; jest to wielka jasność, światło ukazujące się wśród nocy na południowym krańcu jeziora. Fosforyczne to światło bardzo jest podobne do błędnych ogników ukazujących się na naszych bagnach; jest zdaje się tejże saméj natury, tylko daleko silniejsze, tak że w bardzo dalekiéj oddali może być widziane. Światło to ukazuje się zawsze w jednem miejscu i o jednéj porze, i dla tego marynarze żeglujący w tych stronach, nazwali go *latarnią jeziora Marakaïbo.*

Wielu podróżników twierdzi, że fenomen ten jest wynikiem emanacji ogromnych bagien znajdujących się przy ujściu rzeki Zoulji, właśnie w miejscu gdzie ukazuje się tajemnicze światło; atmosfera jest tam w ogóle daleko gorętszéj temperatury niż sąsiednie okolice, i sądzą że jest bardzo mocno przejęta elektrycznością. Twierdzenie to nie jest nieprawdopodobne. Jakikolwiek zresztą jest powód i początek tego dziwnego światła, roztacza ono swe blaski cicho i spokojnie, i o ile wiadomo, nigdy żaden wybuch nie miał miejsca podczas jego trwania.

Jednak największą, najgodniejszą zajęcia osobliwością krajku Marakaïbo, jest niezaprzeczenie zamieszkująca go ludność. Gdy Hiszpanie po raz pierwszy dopłynęli do tych brzegów, spostrzegli z niemałem zdziwieniem, nie pojedyńcze chatki ale całe wsie jakby pływające po powierzchni wód jeziora; zbliżywszy się poznali że wioski te zbudowane były na palach. Przyszła im na myśl Wenecja zbudowana w pośród wód, i dla tego nadali téj części wybrzeży nazwę *Venezuela* (mała Wenecja) która następnie stała się nazwą całéj prowincji.

Niektóre z tych wiosek po dziś dzień istnieją, największe składają się od 50 do 100 rodzin. Dzięki staraniom missyonarzy hiszpańskich znaczna część ludności przyjęła religię katolicką. W jednéj z największych wiosek wznosi się budynek obszerniejszy i z większą wystawiony starannością i ozdobiony dzwonnicą, zwiastującą że władza duchowna zastąpiła tu despotyczną władzę Kacyka. Jednak na zachodnim wybrzeżu, Goairrowie, nie tylko nie przyjęli chrześcianizmu i zachowali swą dziką niepodległość, ale nadto uważając duchownych i wojskowych za przywłaścicieli, korzystają z każdéj sposobności aby napadać i burzyć ich posiadłości.

Jakkolwiek z' jednéj pochodzą rassy, jednak mieszkańcy jeziora różnią się zupełnie od Goairrów charakterem i obyczajami; pierwsi łagodni i pracowici żyją z owoców swéj pracy, drudzy odznaczają się butnością i duchem wojowniczym.

Pragnąc zbudować sobie mieszkanie, Marakaïbowie upatrują na to dogodne miejsce, przedewszystkiem trzeba aby woda była jak najpłytsza a obrane miejsce o ile można najwięcéj oddalone od brzegów, bo wtedy tylko odpowie żądanym warunkom. Wynalazłszy *plac* wodny, nasz budowniczy idzie szukać drzew potrzebnych na filary; drzewo takie musi być bardzo mocne, aby się oparło wpływowi wody i nie lękało owadów, których niezliczone roje snują się w jeziorze. Łatwo pojąć jak trudno wystawić choćby najnędzniejszy szałas na tak niezwykłym gruncie, a Indjanie ci pragną zbudować swe mieszkanie jak najtrwaléj, aby uniknąć nieustannych napraw.

Opatrzność przychodzi im w pomoc, bo zaraz w pobliskim lesie wznoszą się piękne, jakby na ten cel przeznaczone drzewa. Hiszpanie nazwali je *palo sano* uczeni *guayacum* a krajowcy gwajakiem. Drzewo to dochodzi trzydziestu metrów wysokości, wierzchołek jego ma kształt rozpiętego parasola, kwiat bardzo piękny jasno pomarańczowego koloru. Indjanie twierdzą, że drzewo to przez długi czas zakopane w ziemi, zamienia się w żelazo; rzeczywiście jest tak twarde że siekiera tępieje i ostrze się zawija po kilku uderzeniach, a zatopione w wodzie jeziora lub na miejscowym gruncie, po pewnym przeciągu czasu zupełnie kamienieje. Często bardzo znaleść można na wybrzeżach jeziora skamieniały gwajak, pale na których wznoszą się chatki stojące na jeziorze, podlegają zazwyczaj téj przemianie, skąd wynika, że podtrzymujące je filary, zamieniają się z czasem jakby w granitowe kolumny.

Wybrawszy sobie drzewo, Indjanin przyrzyna odpowiedniéj długości filary i ciągnie je wodą do miejsca na którem postanowił zbudować sobie chatę; urządziwszy filary układa pomost czyli podłogę, z innego lżejszego drzewa, zazwyczaj z syrecznika (*bombas)* albo z cedrzeńcu czarnego *(cedrela odorata)* których wiele bardzo rośnie na brzegach jeziora. Ukończywszy pomost wznoszący się zazwyczaj jeden metr nad powierzchnią wody, przystępuje do postawienia ścian, na których dach ma się wspierać; młode bambusy doskonale odpowiadają temu celowi. Mieszkańcy téj szczęśliwéj strefy nigdy nie znają zimna, nie potrzebują więc grubych murów, a jakkolwiek czasami padają ulewne deszcze, szerokie liście z drzewa należącego do rodzaju bananu, doskonale zastąpią cegłę i tarcice. Natura szczodrą dłonią sypała swe skarby w tym zakątku świata, mieszkańcy nie potrzebują szukać daleko środków zaspokojenia wszelkich potrzeb swoich; skończywszy budowę mają zaraz pod ręką liny potrzebne do jéj utrwalenia. Lin

tych dostarczają im świeże łodygi pnących roślin, które schnąc ściągają się i tak silnie trzymają wiązania dachu, że największe burze rozerwać ich nie mogą.

Teraz zbadajmy przyczynę dla któréj krajowcy na wodzie wznoszą swe budowle, kiedy stawiając je na gruncie pod pobliskim lasem, oszczędziliby sobie ogromnych trudów windowania słupów przez bagno i wodę. Czyżby lękali się napadu nieprzyjaznych sąsiadów? — bynajmniéj — nie przed ludźmi to uciekają oni na wody jeziora. Więc może boją się dzikich zwierząt? i to nie, — nie zwierzęta to przywiodły ich do téj ostateczności. Powodem tego opuszczenia ziemi, nie są ani ludzie ani zwierzęta, ale maleńkie żyjące istotki, tak marne, tak niby godne pogardy, że trudno przypuścić aby mogły całą ludność zmusić do ucieczki.

Tą plagą mieszkańców Marakaïbo są po prostu mustyki, nie większe od naszych komarów, ale straszne swą nieprzejrzaną, niezliczoną ilością. Nigdzie może nie roją się tak ogromnie, nigdzie nie ma tylu gatunków tych krwi chciwych napastników, co na brzegach niezmiernego tego jeziora. Ukazują się perjodycznie w nocy lub we dnie zawsze o jednéj godzinie, *zaciągają na warte* jak mówią krajowcy, i bez wytchnienia prześladują swe ofiary.

Rzadko bardzo, i chyba tylko zmuszone wiatrem, mustyki puszczają się nad wodę; ulubionem ich siedliskiem są okolice błotniste i wodne wybrzeża; zazwyczaj siadają w cieniu liści lub wśród roślin wodnych około których się przekształciły. Przed ich to więc rojącemi się legionami Marakaibianie zmuszeni są szukać schronienia aż nad powierzchnią wód jeziora.

Podobnie jak wszystkie ludy zamieszkujące Amerykę podzwrotnikową, tak i tu krajowcy za całe ubranie noszą tylko szeroki pas, jednak ci co przyjęli religię katolicką, dodają jeszcze długi fartuch sięgający do kolan, już to bawełniany już zrobiony z włókien palmowych.

Widziemy więc że ubiór nie naraża ich ani na wielkie kłopoty ani na ciężką pracę, zobaczmy teraz co stanowi główne ich pożywienie. I tu wody jeziora przychodzą im w pomoc, dostarczając rybołówstwu nieprzebranych zasobów. Niepodobna wyliczać wszystkich ryb żyjących w głębiach jeziora Maracaïbo, wymienimy tylko znaczniejsze.

Liza rodzaj rai, połyskującéj niebieskawo jakby na srebrnem tle. Ryba ta ma około trzydziestu centymetrow długości, smak jéj wyborny; krajowcy suszą ją i sprzedają aż do Antyllów. Nadto ikra *lizy* suszona na słońcu, jest bardzo poszukiwaną i stanowi przedmiot zyskownego handlu.

Daléj mamy *pargo*, *wagrę doradę*, *doncellę* (po hiszpańsku młode dziewczę) te ostatnie w tak wielkiéj poławiające się tu ilości, że aż jedną zatokę ich nazwano imieniem.

To znowu *viegitę* (stara baba) przezwaną tak z powodu żałośnego wydawanego przez tę rybę odgłosu, który naśladuje niezrównanie drżący i piskliwy głos bardzo staréj kobiety, i nakoniec *gubinę* i kilka podobnych rodzai, które zamykane w blaszanych pudełkach przychodzą do Europy, znane powszechnie pod nazwą sardynek.

Jakkolwiek same ryby mogłyby dostarczyć Marakaïbianom dostatecznego pożywienia, jednak nad wszystkie przekładają kassawę, którą muszą kupować w poblizkiem mieście zwanem także Marakaïbo, aby zaś zebrać zasób do kupna niezbędny, muszą uciekać się do handlu którego przedmiotem są owoce polowania i rybołówstwa oraz exploatacja kauczuku.

Wiadomo jak dziś kauczuk z każdym dniem rozleglejsze znajduje zastosowanie; szacowna ta substancja otrzymuje się z kilku rodzai drzew, po większéj części należących do rodziny fig lub euforbij. Drzewo rosnące w wielkiéj liczbie po nad brzegami jeziora Marakaïbo wydaje kauczuk w najlepszym gatunku i nazywa się *seringa* albo *syfonja elastyczna*; piękne to drzewo ma pień prosty, korę gładką, a naczynia jego zawierają sok biały, z którego przez ulatnianie wydobywa się kauczuk.

Chcąc go otrzymać Indjanin nacina korę drzewa i podkłada pod nią kawałek drewna, aby nie opadła, a poniżéj otworu przytwierdza małe gliniane naczynie, biorąc je jeszcze zupełnie mokre, aby dobrze do kory przystało. Każde drzewo syfonji otrzymuje liczne bardzo nacięcia wraz z fiolami mającemi około decylitra objętości.

Gdy po sześciu godzinach sok ciec zaprzestał, odlepiają się przylepione do drzewa fiole, a ciecz w nich zawarta zlewa się w wielkie gliniane naczynie. Indjanin przygotował sobie zawczasu materjał palny, który stanowią orzechy różnych palm, a między innemi orzechy dwóch prześlicznych palm, inaï *(Maximiliana regia)* i urukuri *(Attalea excelsa)*. Trzeba śpiesznie zabierać się do roboty, ponieważ mleczny sok syfonji zsiada się bardzo prędko. Jak tylko więc ciecz została przelaną do wielkiego naczynia, natychmiast rozpala się ogień, i przykrywa cały dużem glinianem naczyniem, przewróconem do góry dnem, w którem poprzednio wywiercono dużą dziurę; otworem tym wychodzi wielki dym. Indjanin przyrządzający kauczuk, zaopatruje się w kilka form glinianych z trzonkami, w kształcie butelki lub trzewika, formy te powleka lekko lub macza prędko w płynie i zaraz trzyma nad dymem, obracając na wszystkie strony. Każda forma składa się z czterdziestu do pięćdziesięciu warstw zgęszczonego płynu, stosownie do grubości jaką się chce nadać wyrabianemu przedmiotowi, poczem robota jest skończona, nie wymagając więcéj jak pół godziny czasu na każdą formę.

Jeśli Marakaïbianin wyrabia obuwie, wtedy musi jeszcze porysować na niem różne arabeski, a robota ta wykonywa się we dwa dni późniéj, z pomocą metalowego pręcika, kolca z jakiegoś drzewa, lub ze śpiczastego końca ananasowego liścia.

Po upływie ośmiu dni trzewik czy butelka wysychają zupełnie, zdejmują się z wypełniającéj je formy i doskonale wyczyszczone wewnątrz i zewnątrz, stają się przedmiotem handlu.

Dodajmy jeszcze że ciemno brunatny kolor kauczuku nie jest skutkiem długiego obracania nad dymem, gdyż pomimo tego nie zmienia swéj białawo mlecznéj barwy, i dopiero późniéj nabiera powszechnie znanego koloru.

Nie darmo mówi przysłowie, że każdy ma swego móla co go gryzie“. Zdawałoby się że nasz Marakaïbianin mający tak ograniczone potrzeby, nie znający żadnych zbytków, nie hołdujący modzie i zamiłowa-

niu w kosztownych sprzętach i strojach, z samego rybołówstwa i wyrobu kauczuku zbierze aż nadto dostateczny zasób na kupno jedynie upragnionego łakocia — kassawy, że więc o nic więcéj troszczyć się nie potrzebuje. Gdzie tam, i on biedak ma kłopot nie dający mu spokoju, ma cel do którego dąży, życzenie które musi urzeczywistnić — pragnie okazałego i zaszczytnego pogrzebu — i dla tego musi obmyślać środki zdobycia potrzebnych na ten cel zasobów. Nie poprzestając więc na rybołówstwie i wyrabianiu kauczuku zajmuje się jeszcze polowaniem.

Z nadejściem zimy wszystkie ptaki gnieżdżące się pod strefą północną, rzucają swe zimne okolice i do cieplejszych odlatują światów, i wtedy to miriady kaczek, cyranek i t. p. przybywają osiedlać się na jeziorze. Jednak podejść je tak trudno że myśliwy musi uciekać się do podstępu.

W tym więc celu Indjanin zaopatruje się w znaczną ilość tykw wielkości swéj głowy; których dostarcza mu roślina z rodziny dyń *(cucurbia lagenaria)* i drzewo zwane dzbaniwo *(crescentia cujete)* obficie rosnące na tych brzegach. Zapas ten ładuje w łódź swoją i upatruje miejsca gdzie ptastwa nic nie spłoszy, uważając jednak aby woda nie była głęboka i tylko dostawała mu do brody. Nie lęka się głębokości, bo doskonale umie pływać, ale chcąc bacznie obserwować ptastwo, musi pilnować aby nie było zbyt oddalone od brzegu.

Obrawszy miejsce puszcza na wodę tykwy przywiezione na łódce, pierwéj jednak do każdéj przywiązuje długą nitkę z kamieniem, aby nie rozpraszały się zbytecznie, tak więc tykwy pływają po powierzchni jakby wodne rośliny, a kamień opada na dno i utrzymuje je w jednem miejscu. Poczem oddala się spokojnie.

Początkowo ptastwo przygląda się bojaźliwie okrągłym żółtym intruzom, wkradającym się do ich dziedziny; jednak mijają godziny a nieproszeni przybysze żadnéj nie robią im krzywdy, wtedy powoli bojaźń ustępuje miejsca ciekawości, nią powodowane ptastwo ośmiela się i zaczyna coraz więcéj zbliżać do nieznanych gości, a nareszcie skacze i przelatuje bez najmniejszéj obawy z jednéj tykwy na drugą. Tego tylko czekał Indjanin. Co prędzéj teraz okręca się w pas sznurem przy którym wisi pełno rzemieni, kładzie na głowę tykwę zupełnie taką jak pływające po wodzie, z tą tylko różnicą że zrobił w niéj trzy otwory na oczy i nozdrze, i tak przystrojony wchodzi do wody, płynąc zwolna w kierunku zgromadzonych ptaków. Dopłynąwszy do miejsca gdzie woda jest już tak głęboka że go zasłoni po szyję, staje i spokojnie po maleńku wchodzi między pływające tykwy, których ptastwo nic a nic się już nie lęka.

Podstęp ten tak dobrze jest osnuty że i rozumniejsze stworzenia mógłby wywieść w pole. Tak więc nowa tykwa uwija się pomiędzy dawnemi, ale rzecz dziwna! gdy tylko zbliży się do jakiéj kaczki lub cyranki, ta znika natychmiast bezpowrotnie, jakby jakaś tajemnicza siła wciągnęła ją za nogi w wodę, i to tak nagle że nawet krzyknąć nie miała czasu.

Te niepojęte znikania trwają nieprzerwanie, a sprawca ich nie ukazał się ani razu; nareszcie ptaki zaczynają podejrzywać pływającą tykwę i uciekają powietrzem lub wodą, ale za nim do tego przyszło Indjanin nasz odbył nie jedną podróż do swéj chaty, a każdą razą ukazał się tam przystrojony podwójnym rzędem ptaków, za szyję wiszących na rzemieniach u pasa.

Polowanie to, które możnaby raczéj uważać za rodzaj rybołówstwa, dostarcza pożywnego pieczystego, którym Marakaïbianie delektują się przez całą zimę, a zbywający zasób sprzedają lub zamieniają na pieprz maniok lub kukurydzę.

(Wyjątek z podróży kapitana Mayne-Reid.)

O KOLORACH

Korrespondencja z Paryża.

Dzisiejsze sprawozdanie nasze poświęcamy opisaniu pięknych towarów pana Thonnesa, któreśmy tu widzieli. Zaczynamy od letnich wyrobów na suknie.

Na strojne ubranie zalecamy bardzo ładne fulary w rozmaitym rodzaju, i w różnych gatunkach. Szczególniéj fular *croisé* gładki w kolorach: szafirowym, lilla, szarym i t. p. Suknia taka przybrana wstawką gipiurową pięknie wygląda i zupełnie zastępuje jedwabną. Podobał nam się też bardzo fular biały nakrapiany czarno, w podłużne pasy białe atłasowe. Niemniéj ładne i modne suknie fularowe białe w drobne paseczki zielone, szafirowe albo lilla; w różnokolorowe kropki na tle białem, lub też w drobne kolorowe płomyczki. Do częstszego zaś ubrania wyborny fular czarny, w drobny owiesek w rozmaitych mięszanych kolorach.

Ze strojniejszych wyrobów na suknie, widzieliśmy piękne *fil de chèvre* na tle białem w pasy atłasowe pąsowe, fijołkowe, zielone, popielate i inne. Jeszcze strojniéj wygląda gaza *Chambéry*, przerabiana także w podłużne pasy atłasowe.

W muszlinkach kolorowych piękny także dobór.

Jedne z nich mają szlak odpasowany, inne również modne, mają podłużne pasy z łańcuchów *Bénoiton*, lub też z drobnych asterków (marguerites).

Na suknie codzienne pan Thonnes sprowadził znaczny zapas perkalików, w łańcuchy Bénoiton w różnych kolorach, na tle białem, szamoa i innych.

Do wyjścia na ulicę zalecamy najwięcéj *lenos* popielaty w rozmaitych odcieniach, zacząwszy od perłowego, aż do stalowego; oraz wyrób popielaty z koziéj wełny, zwany *Sultane* nakrapiany czarno w marmurek.

Z pomiędzy okrywek podobały się nam piękne paletociki czarne *poult de soie* przybrane w rozmaity sposób gipiurą i pasmanterją; oraz paletociki wełniane kolorowe do figury przepasane paskami. Jedne z tych są zupełnie gładkie, inne zaś w kolorowy rzucik. Między innemi są także krótkie paletociki, nie do figury, z kapturkiem do zarzucenia na głowę. Te ostatnie szczególniéj odpowiednie na wieś.

Zasługują także na wzmiankę Beduiny algierskie *jaspeés*, obszyte w koło wązką wstążką, z kapturkiem przybranym dwoma angorowemi kwastami. Do teatru zalecamy Beduiny Lama z czarnéj wełnianéj koronki. W tym roku ukazują się często wielkie mantyle z takiejże koronki, zakończone szerokim wolantem. Mantyle te właściwe szczególniéj dla starszych osób.

Pan Thonnes zakupił zapas sukienek dla dzieci, tak dla chłopczyków jak również dla dziewczynek. Ubranie chłopczyków składa się z majtek, szpencerka i kamizeleczki, z tegoż samego wełnianego materjału; ubranie dziewczynek ze spódniczki i paletocika do figury, przepasanego paskiem, z popeliny wełnianéj.

Uważaliśmy także bardzo ładne bluzki muszlinowe przeszywane wstawką kluni, przybrane wstążką kolorową lub aksamitką.

Z pomiędzy kołnierzyków, jedne są z koronki kluni z długiemi zębami spadającemi na przód, do nich idą odpowiednie mankiety muszkieterskie, które się kładą na wierzch rękawa. Kołnierzyki webowe, także z przedłużonemi zębami z przodu, przybrane są medaljonami kluni i obszyte brzegiem takąż koroneczką.

Parasolki pana Thonnesa, odznaczają się dobrym gustem, jedne z nich białe lub kolorowe powleczone koronką czarną, lub białą kluni; inne wizytowe z białéj mory ozdobione sznurem srebrnym lub jedwabnym z kwastami; u strojniéjszych rączki z kości słoniowéj, gładkie lub nabijane stalą; u mniéj strojnych rzeźbione z dębowego drzewa.

Wstążki najmodniejsze na szarfy i do ubrania kapeluszy, mają deseń biały naśladujący koronkę kluni, takież same wązkie wstążki używają się do naszywania sukien i paletocików.

Uważaliśmy także siatki na głowę jedwabne czarne, przystrojone łańcuchem Benoiton, który spada na szyję lub na warkocz; u jednych łańcuch srebrny lub złoty, u innych czarny lawowy. Takież łańcuchy lawowe służą zarówno do ubierania staników u sukien i paletotów.

W ogromnym zapasie guzików zwróciły szczególniéj uwagę naszą, lawowe wyrzynane w medaljony, oraz szmuklerskie otoczone sieczką z medaljonikami w pośrodku. Z jaśniejszych ładne są białe kryształowe rznięte, w formie okrągłéj lub podłużnéj, zwane *bouton diamants*. Widzieliśmy też rozmaite grelotki tak białe z kryształowych paciorek, jak i z czarnéj sieczki używane dziś powszechnie do obszycia ronda u kapeluszy, lub do obszycia strojnych sukien i kaftaniczków.

Oprócz tego pan Thonnes zakupił mnóstwo najmodniejszych bižuterji z lawy, srebra oksydowanego lub imitacji złota; forma kolczyków rozmaita, jedne okrągłe, inne długie spadające, w ogólności wszystkie wielkich rozmiarów. Noszą także bardzo bižuterje ze świecącego srebra. Do modnych bižuterji należą naszyjniki z kolorowych paciorek, lub z medaljonów połączonych łańcuszkami. Klamerki kwadratowe do pasków ciągle się utrzymują.

Seweryna D.

Pomimo że pogoda wiosenna jeszcze się nie zupełnie ustaliła, widziemy jednak po magazynach mnóstwo kapeluszy i ubrań lekkich, przygotowanych na porę cieplejszą.

Przytoczymy najpierw opis modeli paryzkich, sprowadzonych przez panią Kwiatkowską, jak niemniéj i tu odrobionych kapeluszy, między któremi jest tylko ogromna różnica ceny, ale pod względem gustu i wykończenia nieustępują paryzkim.

Fanszonik lila, układany do cieniu z dużo namarszczonych jedwabnych falbanek, wycinanych w ząbki ubrany i podpięty fijołkami parmeńskiemi. Takiż biały, przybrany narcyzami.

Dalja krepowy, bardzo strojny, rondko z plisowanéj krepy, na włosy ząb nagarnirowany czarną koronką, z pod niego spada czarny łańcuch *bénoiton* w podpięciu; z boku i nisko nad karczkiem na plisie ze wstążki, bukieciki z fijołków z zielonemi listkami.

Kapelusik biały łyczkowy, pleciony w kratkę, przybrany czarną koronkową barbką i łańcuchem srebrnym, przepinanym medaljonami koloru *maïs;* podpięcie nad czołem z aksamitu morderowego, podgarnirowanego krepą koloru *maïs*. Po bokach podgarnirowany także krepą. Szarfy ze wstążki *maïs.*

Pamela biała włosiana, przybrana z wierzchu torsadą ryżową przerabianą z czarnem, podgarnirowana spodem w około białą fałdowaną illuzją złożoną podwójnie; nad czołem pliska z czarnego aksamitu i gałązka zielonego wrzosu z różanemi pączkami. Szarfy różowe z brzegiem klarownym koloru słomki, przerabianym czarną sznelą.

Kapelusz biały słomkowy, z główką składającą się z dwóch bufek *bleu-mexique*, przepiętych torsadą słomkową i przystrojonych łańcuszkiem z perełek słomkowych mieszanych z lawowemi; łańcuch ten przytrzymują medaljony czarne aksamitne, zdobne popiersiami słomkowemi. Szarfy z wstążki *bleu-mexique* z ażurowym brzegiem; rondko objęte czarnym aksamitem. Podpięcie ułożone z bufek z illuzji podwleczonéj wstążką bleu-mexique i z pączków błękitnych.

Fanszonik z białéj słomki, [przystrojony dużą różową różą, otoczoną kłosami słomkowemi i kokardą z czarnéj wstążki szerokiéj na dwa cale. Spodem podgarnirowany podwójnie illuzją wśród któréj idzie wałeczek z różowéj wstążki. Szarfy ze wstążki różowéj, z klarownym słomkowym brzegiem.

Bardzo ładny i strojny kapelusik biały włosiany miał główkę układaną w kratkę z wązkich włosianych plecionek, a na każdéj kratce lawową perełkę; w około téj klarownéj główki szła rusza układana z wycinanéj w ząbki materji *mais*, a za nią rusza z czarnéj koronki. Podpięcie nad czołem składało się z plisy czarnéj aksamitnéj, ogarnirowanéj materją *mais* z obu stron w ząbki wycinaną z gładko fałdowanéj illuzij po bokach; szarfy białe z brzegami *mais* przerabiane czarnem uzupełniały całość.

Fanszonik biały krepowy, bardzo strojny, stosowny na ślub lub koncert, przybrany był brzegiem rondka i nad czołem białemi konwaljami, i białą kokardą. Szarfy białe.

Kapelusik układany cały na przemian z lilla wązkich suto namarszczonych jedwabnych falbaneczek i marszczonéj białéj blondynki, podpięty był fijołkami. Szarfy ze wstążki lila z białym klarownym brzegiem, służyły do wiązania.

Kapelusik zielony *poult de soie* układany w płaskie fałdy, miał główkę złożoną z bufek przepiętych wstążką zieloną z brzegiem, naśladującym białą koronkę kluni. Podpięcie składało się z fałdowanéj illuzji i lilla kwiatków.

Kapelusze słomkowe, układane z materją lub z całemi główkami jedwabnemi, podpięte układaną illuzją, aksamitem i kwiatkiem, także ładnie wyglądają.

Okrągłe kapelusiki włosianne, ryżowe, słomkowe są w tym roku noszone w rozmaitych fasonach, najświeższe mają nazwę: *Henri IV* i płaskie z dużemi rondami. Te ostatnie, stosowne tylko dla młodych panienek; zdobią się najczęściéj girlandką z kwiatów, inne bywają ubierane krepą, illuzją, piórami, kwiatami, lub tylko prosto opasane aksamitką czarną z długiemi końcami, albo sznurkiem słomkowym z takiemiż kwastami.

Co do okryć, beduiny i paltoty utrzymały się przeważnie. Na beduiny jak w przeszłym tak i w tym roku wyrób zwany *tigré* bardzo używany, inne są w pasy białe atłasowe i wełniane, popielate chinée jakby aksamitne, białe flanelowe, w lila centki, fijołkowe broszowane czarnem lub gładkie korcikowe i kaszmirowe.

Paltoty korcikowe najmniéj kosztują; najdroższe są z czarnéj ciężkiéj materji, bardzo bogato przybrane naszyciami z czarną lawą. Epolety i rękawy przy ręku przybrane bywają czarnym łańcuchem paltoty te zwane: *Benoiton* strojne, ale bardzo kosztowne.

Żaknoty tegoroczne do złudzenia naśladują fulary, najmodniejsze i najładniejsze są na tle białem w rzucik, w pasy lub w marmurek *chinée*. Są także w kolorach dzikich i zupełnie ciemne.

Muśliny prawie wszystkie na tle białem w bukiety, palmy, motyle, rzucik drobny lub pasy podłużne, naśladujące jakby naszycia koronkowe albo łańcuchy *bénoiton*.

Opis czepeczków, sukienek dla dzieci kapeluszy słomkowych, kaftanika aksamitnego i gorsecika jedwabnego.

N. 1. Stanik biały używany zamiast gorseta. Rękawki krótkie i wykrój stanika, obszyte są haftowaną wstawką i koroneczką. U góry stanik podszywa się listewką i nawleka tasiemką do ściągania. Staniki takie kładą się także na gorset pod białe muślinowe bluzki, w takim razie fiszbiny zupełnie niepotrzebne.

N. 2. Sukienka dla dziewczynki od 8 do 10 lat z popielatéj popeliny. Nad obrębem naszyta jest plisa jedwabna popielata, wyszyta jedwabnym okrągłym sznureczkiem. Kaftanik marynarski odpowiednio przybrany. (Forma tego kaftanika umieszczona na drugiéj stronie arkusza ze wzorami, od 1 do 6 Numeru.

N. 3. Szmizetka muślinowa lub tiulowa do czworograniasto wyciętego stanika na przodzie. Bufki marszczone, przegrodzone są haftowaną albo koronkową wstawką. Wykrój około szyi garnirowany walansienką i z tyłu zapięty na guziczki.

N. 4. Rękawek biały muślinowy krajany formą zwyczajnych rękawów do sukien, mankiet przy nim złożony z gipiurowych wstawek, naszytych na rękawie i podwleczonych kolorową wstążeczką lub aksamitką, zakończoną w pukielki. Wstawka garnirowana w koło gipiurą kluni.

N. 5. Burnus z kapturkiem dla dziewczynki od 6 do 8 lat z korciku albo flanelki białéj w szafirowe lub fijołkowe paski. Kapturek objęty pliską jedwabną, ściągnięty na sznur jedwabny z kwastami.

N. 6. Fartuszek z białego żaknotu lub nanzuku dla małego dziecka. U dołu można dać pięć zakładek albo tyleż skośnych plisek z wierzchu przystebnowanych. Karczek obszyty jest falbanką haftowaną z obydwóch stron, ze skośną pliską przystebnowaną w środku. Z tyłu zapina się na guziczki.

N. 7. Sukienka z niebieskiego fularu wełnianago dla dziewczynki od 2 do 4 lat. Na przednim brycie naszyta jest falbanka ułożona w kontrafałdy, a w każdym przedziale guziczek z perłowéj konchy. Stanik marszczony i czworograniasto wycięty. Przy wszystkich falbankach i paska ułożonym z przodu w kontrafałdy, dane są wypustki z białéj alpagi.

N. 8 Sukienka z gęstego szarego bareżu, garnirowana u dołu takąż wąziuchną fałdowaną falbaneczką albo wstążką odpowiedniego koloru. Stanik fałdowany, wszyty jest w gładki karczek, garnirowany również falbanką. Pasek zakończony kokardą i klamerką. Rękawy wycięte w zęby odpowiednio garnirowane; pod spodem idą rękawki z białego półbatystu lub muślinu, przyszyte do gładkiéj listewki przy któréj zęby od rękawa przymocowane są. Falbanki z bareżu lub fularu krajać się powinny skośno i tej szerokości, aby mogły być złożone podwójnie do sfałdowania.

N. 9. Sukienka batystowa do chrztu dla maleńkiego dziecka. Ubranie na staniku i spódniczce składa się z haftowanych wstawek i koroneczki. Sukienki takie robią także z białego kaszmiru, haftowane kolorowym jedwabiem i wyszywane sutaszem albo ściegiem łańcuszkowym.

N. 10. Litery T. Z. do znaczenia poszewki.

N. 11. Czepek tiulowy dla starszej osoby, garnirowany blondynką i przystrojony wstążką kolorową.

N. 12. Czepek *empire* złożony ze wstawek haftowanych i gładkiego muślinu. Szarfy i pukielki nad czołem i karczkiem z niebieskiej wstążki.

N. 13. Czepek muślinowy ubrany walansienką i wązką wstążeczką lila.

N. 14. Kapelusz pamela z białéj słomki, obszyty koło ronda grelotkami. Wieniec z bluszczu otacza główkę. Szarfy do wiązania zielone.

N. 15. Kapelusz ryżowy popielaty. Kapelusze takie po największéj części opasane bywają czarną aksamitką z długiemi końcami. Dla młodéj panienki dodać można do białego ryżowego kapelusza girlandkę z drobnych kwiatków albo bukiecik z habru lub fijołków.

N. 16. Kapelusz Szkocki obłożony czarnym aksamitem dla małéj dziewczynki. Z tyłu przypina się w festony czarny łańcuszek *bénoiton* lub też tylko daje się kokarda z aksamitki z długiemi końcami.

N. 17. Kapelusz ryżowy: zwany *Cloche anglais* najczęściéj opasany tylko bywa aksamitem, z kokardą na boku bez żadnych końców.

N. 18. Kapelusz chiński dla małych dzieci. Fason ten dziwaczny i niestosowny dla dorosłych osób, fantastycznie i oryginalnie ubiera małe dziewczynki. Wystrój takiego kapelusza zwykle składa się z girlandki drobnych kwiatów albo z czarnéj mantynowéj wstążeczki, która się w podłuż rzędami upina na około kapelusza.

N. 19. *Ubranie panienki 8-mio letniéj.* Suknia z popielatéj alpagi z taką samą spódniczką. Szarfy alpagowe, które służą do podpinania sukni, wszyte są razem ze suknią do paska i opatrzone u dołu dziurkami; przy sukni zaś znajdują się w równoległych odstępach guziki aksamitne do przypięcia pasków. Paletocik, patki, suknia i spódniczka naszyte są czarną aksamitką albo objęte skośnym rulonem aksamitnym. Kapelusz trójkanciasty (chapeau tricorne) ubrany czarnym aksamitem i białem piórem. Buciki kozłowe.

Ubranie drugiéj figury. Suknia z szafirowéj popeliny, w białą kratkę. Paletocik czarny jedwabny z klapkami szafirowemi, które formują wywinięcie na boku. Kapelusz chiński z białéj słomy ryżowéj, ubrany na wierzchu czarną aksamitką.

N. 20. Kaftanik aksamitny na jedwabnéj podszewce, ozdobiony ażurową torsadą szmuklerską i koronką kluni. W braku torsady użyć można wstawki czarnéj gipiurowéj i takiejże koronki. Z przodu kaftanik zapięty na guziki szmuklerskie ze sznurami jedwabnemi.

Krótkie kaftaniczki tak aksamitne jak i jedwabne niewychodzą z mody. W formie ich ta tylko daje się widzieć odmiana, że przody u nich nie bywają podcięte okrągło, lecz spadają prosto do paska. Przód najczęściéj szamerowany w drabinkę. Do codziennego użytku noszą je z korciku lub flanelki obszyte sznurem albo pasmanterją z grelotkami.

N. 21. Czepek nocny z cienkiego płótna garnirowany haftowaną falbanką.

N. 23. Gorsecik jedwabny garnirowany wstążeczką. Stanik muślinowy. Naszyjnik z czarnéj aksamitki i białych pereł.

N. 24. Tenże gorsecik z drugiéj strony. (Forma gorsecika od Numeru 7-go do 10-go).

N. 25. Kapelusz męzki popielaty.

Opis formy kaftanika marynarskiego, gorsecika jedwabnego, stanika do paska i jednéj części parasolki haftowanéj.

N. 1. Przędnia część kaftanika marynarskiego.
N. 2. Patka do przykrycia kieszonki.
N. 3. Boczek.
N. 4. Połowa pleców.
N. 5. Rękaw.
N. 6. Połowa kołnierzyka.

Kaftanik zwykle się podszywa perkalem albo gęstym muślinem, litery zaś wskazują jak go zeszyć należy. Spódniczka u dołu i kaftanik objęte są plisą jedwabną i wyszyte sznureczkiem okrągłym.

N. 7. Przód gorsecika jedwabnego. Część zbywająca od guzików zakłada się pod spód. Gorsecik zeszywa się tylko od pachy do stanu, czyli od litery C do gwiazdek i w tem miejscu dają się cienkie fiszbiny. Podszewka powinna być płócienna lub perkalowa i jedwabna. Wypustki otaczają wszystkie szwy i klapki, formujące baskinę. Z jednéj strony idą guziczki srebrne z drugiéj dziurki do zapinania.

N. 8. Boczek przedni.
N. 9. Boczek do pleców.

N. 10. Połowa pleców. Gorseciki takie noszone są zarówno do staników wyciętych, jak i bluzek kaszmirowych. Do sukien lekkich tarlatanowych lub muślinowych bywają zwykle z różowéj albo niebieskiéj materji, do codziennego zaś użytku przy bluzce kaszmirowéj, najodpowiedniejsze z czarnego poult de soie garnirowane wstążeczką lub pasmanterją z grelotkami. Szelki zależą od gustu i nie koniecznem są dopełnieniem gorsecika.

N. 11. Przód stanika do paska. Z jednéj strony robią się dziurki, do drugiéj przyszywają guziki.

N. 12. Boczek do przodu.
N. 13. Boczek do pleców.

N. 14. Połowa pleców. Materjał przy krajaniu składa się we dwoje, żeby plecy z tyłu były w całości.

N. 15. Wierzchnia część rękawa.
N. 16. Druga część rękawa.

N. 17. Epolet. W tem miejscu gdzie guzik oznaczony, część ta idzie na ramię. Cały epolet może być naszyty w podłuż aksamitką lub też pasmanterją z grelotkami.

N. 18. Mankiet odpowiednio przybrany. Pasek do stanika daje się powszechnie z materjału sukni, zakończony z boku rozetą.

N. 19. Część parasolki haftowanéj jedwabiem i perełkami z czarnéj lawy.

KORRESPONDENCJA.

Pani O. Płyn do farbowania włosów na kolor szatyn ciemniejszy i jaśniejszy, jakoteż na kolor czarny kosztuje rs. 3.—Pani A. G. peruczka o jaką się zapytywano kosztuje rs. 6. — Pani M. Łańcuch czarny *à la Benoiton* kosztuje rs. 3. Naszyjniki z *cristal de roche* do magazynów tutejszych, dotychczas nienadeszły. Kołnierzyk z koronki kluni *à la Richelieu* kosztuje rs. 10. Grzebień złocony w kształcie dużéj broszy z wisiorkami rs. 6. Za ufarbowanie sukni należy się rs. 4.—Pani Walerji Daszew. wykończenie obstalowanego obuwia, trwać będzie dwa tygodnia. Pani hr. Droho. żądane pisma zaprenumerowaliśmy, co wynosiło złp. 185 gr. 6. pozostałe złp. 46 oddane będą w miejscu wskazanem.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz ze wzorami czepeczków, kapelusza Pameli, sukien, okryć wiosennych, oraz formą: kaftanika marynarskiego, gorsecika jedwabnego, stanika do paska i jednéj części parasolki.

---

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

(*Dodatek*).

№ 167.
TYGODNIK MÓD
w Warszawie.



№ 1. Stanik biały używany zamiast gorsetu.

№ 2. Sukienka dla dziewczynki od 8. do 10 lat.

№ 3. Szmizetka do czworograniasto wyciętej sukni.

№ 4. Rękawek biały z gipiurą.

№ 5. Burnus z kapturkiem dla dziewczynki od 6. do 8. lat.

№ 6. Fartuszek żaknotowy dla małego dziecka.

№ 7. Sukienka dla dziewczynki od 2. do 4. lat.

№ 8. Sukienka dla dziewczynki od 4. do 6. lat.

№ 9. Sukienka do chrztu dla małego dziecka.

№ 10. Litery T. Z. do znaczenia poszewek.

№ 11. Czepek tiulowy.

№ 12. Czepek empire.

№ 13. Czepek muślinowy.

№ 14. Kapelusz Pamela.

№ 15. Kapelusz Szwajcarski.

№ 16. Kapelusz Szkocki.

№ 17. Kapelusz Angielski.

№ 18. Kapelusz chiński dla małych dzieci.

№ 19. Ubranie małych panienek.

№ 20. Kaftanik aksamitny.

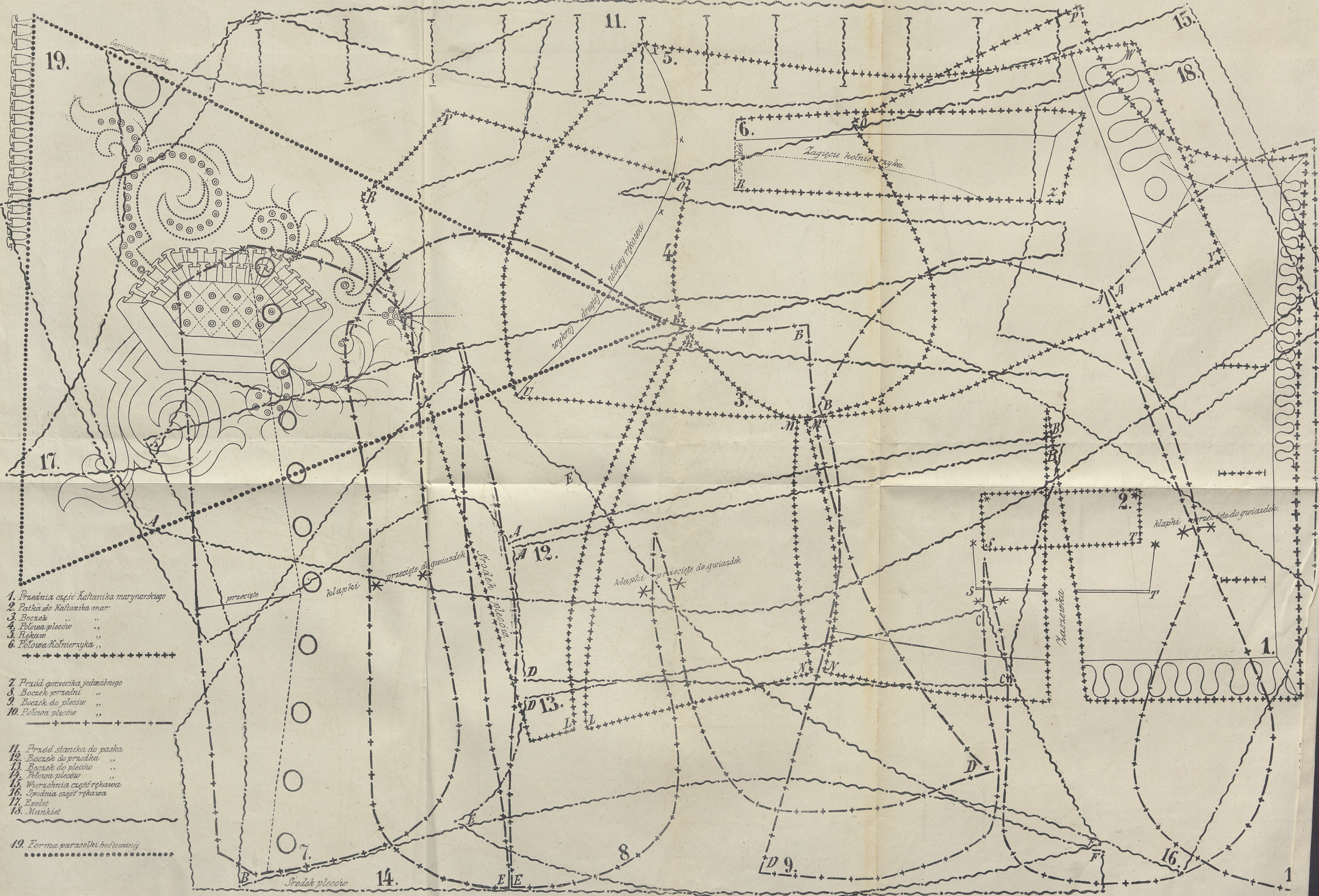
№ 21. Tenże kaftanik z drugiej strony.

№ 22. Czepek nocny.

№ 23. Gorsecik jedwabny.

№ 24. Tenże gorsecik z drugiej strony.

№ 25. Kapelusz męzki kastorowy.


1. Przednia część Kaftanika marynarskiego
2. Patka do Kaftanika mar:
3. Boczek " "
4. Połowa pleców "
5. Rękaw "
6. Połowa Kołnierzyka "
7. Przód gorsecika jedwabnego
8. Boczek przedni "
9. Boczek do pleców "
10. Połowa pleców "
11. Przód stanika do paska
12. Boczek do przodku "
13. Boczek do pleców "
14. Połowa pleców "
15. Wierzchnia część rękawa
16. Spodnia część rękawa
17. Epolet
18. Mankiet
19. Forma parasolki haftowanej
Zagięcie kołnierzyka
klapki przecięte do gwiazdek
Środek przodu
Środek pleców
Kieszonka
przecięte

Dodatek do Nr. 21 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 14 (26) Maja 1866 r.

PAMIĘTNIK MŁODEJ MĘŻATKI

PRZEZ

WIKTORA CHERBULIEZ

PRZEKŁAD

Joanny Belejowskiéj.

(Dalszy ciąg.)

Najpierw wziął mnie na stosowną dyetę, to jest, starał się oswobodzić mój umysł od wszystkiego co go dotąd zajmowało; za nim ukazał mi prawdę, usiłował zimnem szyderstwem odstręczyć od moich ulubionych urojeń. Prawdę mówiąc, szczęśliwy byłem z tym moim smutkiem i złudzeniami; często uczucie błogiéj jakiéjś radości napełniało moje serce, zdawało mi się, że już niezadługo ujrzę oczekiwaną niebiankę do któréj wyrywało mi się serce; marzenia moje i nadzieje niepokoiły mnie, lecz niepokój ten był mi lubym i drogim. Mentor mój wydał zaciętą walkę moim urojeniom; nielitościwą ręką wstrząsał młodą drzewiną powierzoną jego pieczy, wstrząsał tak silnie aż opadły wzzystkie kwiaty, wszystkie uleciały ptaszęta. Z początku chciałem się wydrzeć z uścisku téj zimnéj dłoni, tak bezlitośnie ogałacającéj moje życie, ale nie puściła swéj ofiary, nic przed nią ukryć się nie zdołało, wszystko spustoszyła, a ja bezsilny bezmyślnem prawie spoglądałem okiem, na padające pod jéj ciosami najpiękniejsze sny moje.

Mądry mój nauczyciel pozostawił mi czas jakiś, na przetrawienie, że tak powiem, mego smutku; potem zaczął mi wykładać wielką tajemnicę życia. Opowiadał jak razem z grzechem nieszczęście na świat zawitało, jak Bóg zstąpił na ziemię, aby męczeńską śmiercią odkupić człowieka; daléj mówił że ten Bóg ukrzyżowany, pozostawił swym wybranym jako przykład i dziedzictwo, krzyż swój, oraz dobrowolnie ponoszone zniewagi i męki. Dotąd wpajano we mnie jakąś dogodną *religijność*, zasadzającą się na powierzchownych oznakach pobożności, zmazujących niby nasze przewinienia;— i pomimo woli, zakradło się do mego serca uczucie jakby pogardy dla tego Boga tak pobłażliwego, tak wymagającego mało, że mógł poprzestawać na resztkach, niemal z litości przez świat mu rzucanych. Nauki księdza Néraud dały mi poznać prawdziwego Chrystusa, tego którego słowa są *surowe a mądrość szalona*, tego który nie uznaje za swego ucznia nikogo co nie umie zaprzeć się samego siebie, który uczy że wszystko w człowieku jest skażeniem, i że powinniśmy umierać sami sobie. I umiłowałem bezmiernie tego Boga, który cierpiał i cierpieć nakazuje, i roztoczyłem u stóp Jego duszę moją, jak jawnogrzesznica swe wonności.

Jednak zmiana wyobrażeń i uczuć nie pociąga jeszcze za sobą odmiany wrodzonego usposobienia; jak pierwéj złudzenia, tak teraz równie silnie ukochałem prawdę, z gwałtownością umysłu posuwającego wszystko do ostateczności, czyli może umysłu sprawiedliwie sądzącego, bo nie dowiedziono jeszcze, aby umiarkowanie miało być zawsze oznaką mądrości. Pojąłem wkrótce, że jeśli dobrowolne cierpienia są jedyną drogą wiodącą nas do Boga, jeden tylko zakonnik pozostaje w zgodzie ze swą wiarą i jest prawdziwym chrześcianinem. Karmiłem swój umysł czytaniem Żywotów Świętych, rozmyślałem nad przygodami tych wielkich pokutników, którzy otrząsając swe obuwie z pyłu świata, chronili się na puszcze, i tam, jak gołębice szukali spoczynku na wzgórzach, lub jak orły zamieszkiwali szczyty skał wysokich.

Wszakże z mężów składających te święte legiony, najżywsze budził we mnie uwielbienie Ś. Franciszek z Assizu, ten najwierniejszy naśladowca Chrystusa. Pragnąłem tak jak on poślubić święte ubóstwo, pragnąłem świat cały uczynić jego czcicielem; lecz ponieważ wiara nie stłumiła jeszcze we mnie żądzy sławy, zamierzałem zostać twórcą jakiéjś nowéj reguły. W prostocie ducha wzdychałem do pozyskania sławy SS. Bernarda i Dominika, zdawało mi się, że wiek ten oczekiwał spełnienia wielkiego dzieła, którego ja może byłem posłannikiem. Nowy szał zawrócił mi głowę: wyczekiwałem chwili w któréj Bóg przemówi do mnie, objawi mi tajemnicę mego posłannictwa, poglądałem badawczo na niebo i ziemię, i wszystko zdawało mi się wróżbą lub przepowiednią. Zadawałem sobie długie, niszczące zdrowie posty, potem zgięty pod ciężarem tego dobrowolnego krzyża, wstępowałem na górę, lecz gdy i tam Bóg mi się nie objawiał, przypisywałem to méj niegodziwości, i podwajałem jeszcze posty i umartwienia.

Doprawdy, można podziwiać tak cudowne uzdrowienie, rzekła raz matka moja do księdza Néraud. Tłómaczył się jak mógł, składając wszystko na moją nieszczęśliwą naturę, która, jak mówił, zawsze wpadała w ostateczność. Dowodził, że koniecznie potrzebuje rozrywki, ze trzeba wyprawić mnie w odległą podróż, że obcowanie z ludźmi najlepiéj nauczy mnie téj prawdy, iż cnota leży w umiarkowaniu. Pojechaliśmy więc; zwiedzałem różne kraje, poznawałem wiele ludzi, ale w niczem nie zmieniałem mego przekonania. Wtedy ksiądz Néraud przerażony zbytniem powodzeniem zasad jakie mi wpajał, starał się miarkować moją gorliwość, i zaczął mi przekładać, że

zdrowy rozsądek i umiarkowanie także są cnotą i że Bóg od nikogo nie wymaga niepodobieństwa,—na co odpowiadałem mu, że dla chrześcianina nie ma niepodobieństwa, że dość mieć wiarę jak ziarnko gorczyczne, aby góry przenosić.

W podróżach naszych starał się zaznajamiać mnie z ludźmi pobożnymi i umiarkowanymi, których za wzór mi stawiał; — ale ta ich mądrość czy umiarkowanie oburzały mnie tylko; w moich oczach był to po prostu dar godzenia pobożności że słabością ludzką. Poglądałem ze wstrętem na ten dziwny zbiór niekonsekwencyj, z jakich się składa życie światowe, a których nikt nie dostrzega już nawet, skutkiem nawyknienia. Ten, że się tak wyrażę *konfort* w pobożności, ta, tak wysoko dziś posunięta sztuka wesołego starania się o swe zbawienie, przejmowały mnie zgrozą; podziwiałem, pogardzając zarazem, tych nabożnisiów światowych, którzy z łatwością przyjmują najstraszniejsze tajemnice wiary, bynajmniéj nie kłopocząc się i nie troszcząc o nie; te dewockie sumienia, które w oczekiwaniu wiekuistego szczęścia, zadawalniają się tymczasem uciechami ziemskiemi; tych świętoszków co doskonale wyglądają, dobrze śpią i dobrze jedzą, i Bogu Ukrzyżowanemu, składają w hołdzie uśmiechy. Gdyby, myślałem sobie, Chrystus ukazał się nagle tym ludziom, otoczon orszakiem grzeszników i publikanów, czyżby aby jeden z nich odważył się uznać go za swego mistrza? Te tysiąc ośmset lat które od przyjścia na świat Zbawiciela upłynęły, tworzą widać jakąś mglistą chmurę, przez którą każdy to tylko widzi co widzieć pragnie.

Nie mało narobiłem kłopotu biednemu księdzu Néraud, sprzeczałem się z nim do upadłego, często cierpkim i ostrym tonem; zwracałem przeciw niemu też same zasady i argumenta któremi mnie kiedyś pokonywał, i tryumfowałem widząc jak wpadał w własne sidła. Jednak mógł winszować sobie niejakiego postępu, bo jakkolwiek w niczem nie ustępowałem co do zasad, zacząłem jednak po trochu wyrzekać się mych nadziej. Wszystko w około przekonywało mnie, że czasy S. Bernarda minęły bezzwrotnie, i dumne zamysły moje jak dym uleciały. Im więcéj rozpatrywałem się w świecie i ludziach, tym lepiéj byłem przekonany, że nowy jakiś duch zawładnął społeczeństwem, i że dziś z imienia tylko jest chrześciańskiem. Daremnie oczy moje szukały namiotów Jakóba i Izraela, wznoszących się niegdyś jak cedry nad brzegiem wody... „Bóg mocy i zazdrości, mówiłem sobie, zasnął jak lew stary, i któż go rozbudzi?..“ Zrozumiałem, że ludzkość zmieniła zasady i mistrza, że dziś cała jéj nauka zasadza się na na czytaniu wielkiéj księgi natury; oto wieczysta jéj Ewangelja. Pochylona nad temi podejrzanemi kartami, jak czarnoksiężnik nad swą czarną księgą, z tego to nieczystego źródła wywodzi wszystkie swe instytucje, prawa, obyczaje, doktryny, sztuki, i czy to nie rozumiejąc, że jest w sprzeczności sama z sobą, czy też przez jakiś szyderczy szacunek, ta kapłanka Boga przyrody, usiłuje przekonać, że pochyla głowę przed krzyżem.

Im lepiéj się rozpatrywałem, tym więcéj traciłem odwagę. I czemże to ja byłem, abym śmiał walczyć z tym prądem popychającym świat ku nowym przeznaczeniom i nowym ołtarzom? Jakiemiż to słowy przemawiać trzeba do tego pysznego i wyniosłego wieku, gardzącego zazdrością Boga, któremu nieustannie daje współzawodników? zatopionego w swych ideach, sprawach, rozkoszach, nie słyszącego ani klątew odzywających się z starodawnych tebaid, ani skarg boskiéj gołąbki ubolewającéj nad swem opuszczeniem? Biedny marzyciel zagubiony w tłumie, litowałem się sam nad sobą, i upadałem pod poczuciem swéj nicości. Trzeba więc rozstać się ze wszystkiemi mojemi marzeniami, z mojem apostolstwem, cudami, z upragnionemi walki i burzami! Jakaś nieprzeparta bojaźliwość zamykała mi usta. Gdzież dusza coby usłuchała głosu méj duszy? i gdybym zerwał piersi krzycząc w pośród drogi, gdzież pewność, że choć jeden przechodzeń zatrzyma się lub choć tylko odwróci głowę?

Wyrzekam się chwały ocalenia świata, rzekłem raz księdzu Néraud, jest to może za trudne przedsięwzięcie, ale nie mogę zapominać o własnem mojem zbawieniu.

I pojechałem do Aiguebelle.“

Pan Dolfin mówił coraz z większym zapałem, nareszcie zamilkł i wzrok spój utkwił we mnie, wpatrując się niespokojnie, z obawą, czy nie znalazłam go śmiesznym.

— Trudno kobiecie dawać zdanie w tak ważnéj materyi, odpowiedziałam; powtórzę wiernie rozmowę naszą pani d'Estrel, lękam się tylko czy nie przechyli się na stronę pana. Odpowie jednak może, że nic nie zmusza pana do zamykania się w klasztorze, że i pozostając na świecie możesz pan żyć zgodnie ze swemi zasadami; że klasztor jest najwłaściwszem schronieniem dla ludzi przeżytych lub dręczonych wyrzutami sumienia, a w całéj przeszłości pana nie ma nic za co miałbyś się rumienić. A z resztą czyż nie można żyć na świecie nie należąc do świata? Czemuż koniecznie kryć się przed światłem dziennem i unikać towarzystwa ludzi? I czegóż się pan lękasz?...

Zmienił się bardzo i rzekł wzruszonym głosem.

— Czego się lękam? jeśli już mam wyjawić pani, czego dotąd nie wyznałem nikomu, dla tego głównie chcę wstąpić do Trapistów aby tam szukać shronienia dla méj własnéj wiary. Tak pani, drżę i lękam się o nią, bo jest we mnie dwóch ludzi, dwie dusze, dwa umysły.... Niestety! w sumieniu mojem staczają się zacięte walki, przejmujące mnie przerażeniem i trwogą. Ach! czemuż do bohaterskich dążności moich łączy się wyobraźnia zbyt tkliwa, zbyt zachwycająca się pięknem i lubująca się w szałach? Z jednéj strony niby opieram wszystko na rozumowaniu, z drugiéj omdlewam słysząc śpiew słowika; w łonie mojem jest zaród wszystkich wielkich cnót i wszystkich słabości, pragnę cierpieć, pragnę używać, i niepojętym jakimś sposobem łączę surowość Brutusa chrześciańskiego, z czułostkowością kobiecą.... O dziwna, dziwna we mnie mieszanina!...

Nie raz zapewnie, czcigodny ojcze, napotykałeś na twéj drodze ludzi z podobnem usposobieniem. Pan Dolfin nie jest wyjątkiem, ileż to dusz dotkniętych bywa tą straszną chorobą wiary i niewiary, uciekających się do najostrzejszych surowości i umartwień, byle zabić prześladujące ich zwątpienie. Nie umiałam doprawdy ani pojąć dobrze, ani odpowiedzieć na te wyznania młodego Greczyna, ale podziwiałam i uwielbiałam go zarazem. Także wydawał mi się wzniosłym i różnym od innych ludzi ów młody marzyciel, który w całym biegu młodości swojéj żadnych

nie zaznał rozkoszy! jedynemi przygodami były dlań własne jego myśli, jedyną przyjaciółką prawda, ale prawda poważna aż do surowości, wymagająca tak wiele, a tak mało dająca w zamian. Z jakąż dziecięcą prostotą opowiadał mi swoje strapienia i smutki! I pomyślałam sobie: dusza taka, to roślina exotyczna, która tylko pod niebem Grecyi lub Italji, może wzróść i dojrzeć.

Piękne niebo Grecyi żywo bardzo także oddziaływało na jego serce i wyobraźnię, i nie raz, uniesiony gorliwością religijną, ostro wyrzucał sobie, iż zanadto go zajmował i unosił widok czarującego, otaczającego go krajobrazu. Często w samotnych swoich przechadzkach, kiedy błądząc wśród pięknych wybrzeży, rozmyślał nad sposobami mocą których będzie mógł zostać wielkim człowiekiem i wielkim świętym, kiedy więc pochlebiał sobie, że urządzając swą przyszłość pokieruje zarazem przyszłością świata, jeden promień słońca igrający wśród liści, cień padający od stojącego krzaku, jedno nic nareszcie dostatecznem było do odwrócenia i zmienienia biegu jego myśli.

Zachwycony pięknością otaczającéj go przyrody, słyszał głos jakiś szepczący mu, że może świat jest jeszcze takim, jakim wyszedł z rąk Stwórcy, że nic się nie zmieniło i pozostaje w pierwotnéj harmonji; że raj, jest to właśnie to co widzimy, że złe tem jest względem dobra, czem światło względem cienia, a zatem, że wszystko jest potrzebne, wszystko jest w porządku, słowem że Bóg jest jakby rozlany w naturze.

„Zaledwie, rzekł mi, opanowały mnie te zgubne wyobrażenia, odpychałem je ze zgrozą, i obu rękami chwytając krucyfix, już to wlepiałem w niego oczy, już to przyciskałem usta, aby w całym świecie widzieć i czuć tylko Boga Ukrzyżowanego; ale daremnie exercyzmowałem widziadło, pojawiało się nieustannie, wybierało czas, miejsce i stawało nagle między mną a krzyżem. O! ten głos przejmujący, zakłócający spokój mego umysłu, nie pochodził z piekieł, ale z otchłań mego serca, dotąd będącego dla mnie tajemnicą. A przed chwilą, kiedy ciskałem klątwy na wiek ten i jego fałszywych bogów, głos ten szeptał mi jeszcze: kto wie? może... Straszne słowa! Tak, kto wie?... może!... O! byle nie słyszeć więcéj tych słów fatalnych, nie ma ofiary którejbym nie poniósł, nie ma tak strasznego klasztoru czy więzienia, w którymbym się nie zamknął z radością, bo już sam sobie stałem się ciężarem, bo znużyły mnie już niewypowiedzianie te nieustanne niepewności i zwątpienia, które jakby mgła czarna stają zawsze między mną i tem co uwielbiam; bo nadewszytko męczy mnie i nuży, że nie znam sam siebie, nie wiem jakie jest prawdziwe moje przeznaczenie, i czem jestem rzeczywiście, gdzie mam szukać i poznawać siebie, czy w tym człowieku co uwielbia, czy przeciwnie w drugim co wątpi i wątpi zawsze.

Pani znasz Aiguebelle, mówił daléj, wszak jest to smutne i samotne schronienie, a jednak mnie jeszcze za rozkosznem się zdaje. Przed kilku miesiącami, kiedy po raz pierwszy zwiedzałem klasztor, i podnosząc oczy wyczytałem nad którémiś drzwiami: *Arsenie! uciekaj od ludzi a będziesz zbawiony*! ogarnęło mnie niewypowiedziane wzruszenie, zdało mi się że niebo przemawia do mnie, nazywając mnie po imieniu: *Arsenie! uciekaj od ludzi a będziesz zbawiony*. Słowa te wyraźnie do mnie były zwrócone, byłem gościem oczekiwanym w klasztorze, drzwi celi same otwierały się dla mnie. Zbudziło się we mnie poczucie jakiegoś błogiego nieznanego mi dotąd spokoju, i nie opuszczało mnie przez kilka godzin spędzonych w klasztorze. Znać było to zdawna zgotowane dla mnie schronienie, tylko nie znałem doń drogi; tak więc wszystkie moje gorycze, zwątpienia, męki wewnętrzne, były to tylko boskie podstępy, jakiemi klasztor Trapistów przyciągał mnie w swe ubłogosławione sidła. Przybywała nareszcie dawno upragniona zdobycz, i święte mury przyrzekały sobie zatrzymać ją już niezwrotnie. O! bynajmniéj nie myślałem się opierać: bierzcie mnie, bierzcie mówiłem sobie w duszy, oddaję wam się duszą i ciałem!... Zwątpienie zamarło, po raz pierwszy rozkoszowałem się spokojem pewności, którą wszystko co mnie otaczało podsycało i wzmacniało. Długie korytarze klasztorne, zbudowane jakby dla tego, aby myśli zakonnika miały się gdzie roztaczać; nagość tych ścian zwiastujących życie ogołocone ze wszystkiego; refektarz i stół tak prosty, złożony z pospolitych potraw, służących do utrzymania życia ale w niczem nie dogadzających zmysłom; dormitarz i małe celki, z prostemi łóżkami przykrytemi kocem naznaczonym krzyżem, a w głowach kropielnica, krucyfix i baranek, poważne postacie zakonników, którzy gdzie niegdzie przesuwali się jak cienie, a nadewszystko cichość panująca w całym tym klastorze, którego same mury przemawiają swemi napisy; milczenie zapowiadające milczenie groba, które rozpraszało i że tak powiem, pochłaniało moje cierpienia, wszystko to mówiło mi: że jestem u siebie, że dobiłem do portu, i oswobodzone serce moje rozkoszowało się urokiem tych nadzi[...]odnawiających moje życie.

W tem towarzyszący mi braciszek odźwierny, ucieszony mojem zachwyceniem, rzekł mi z cicha: Nie widziałeś pan jeszcze wszystkiego... i poprowadził mnie do drzwi za których otwarciem ukazał się moim oczom śliczny ogród pełen kwiatów, słońca, woni i szmeru. Cofnąłem się o parę kroków: zapomniałem już że istnieje słońce, kwiaty, drzewa, i widok tego ogrodu zadziwił mnie i przeraził zarazem. Jednak zapanowałem nad sobą i śmiało poszedłem naprzeciw nieprzyjaciela; zaraz przy wejściu, na pięknym krzaku kwitnęła w całéj pełni śliczna różowa róża:

— Więc róże kwitną w klasztorze Trapistów? zawołałem.

Zdziwiony nieco moim wykrzyknieniem, braciszek odźwierny odpowiedział mi z uśmiechem: Dla czegóżby nie?... Spoglądałem z kolei na kwiaty i mury klasztoru, i uczuwałem powstającą we mnie ową dawną i zaciętą sprzeczkę, całkiem zamarłą przez kilka godzin. Widzisz więc pani, że Aiguebelle jest to jeszcze za rozkoszne dla mnie schronienie, jednak pochlebiam sobie, że gdy stworzę w sobie duszę i oczy trapisty, będę mógł bez niebezpieczeństwa spoglądać na kwiaty.

— Do Trapistów! do Trapistów! wykrzyknął po chwili milczenia, i niech ta odwieczna nieprzyjaźń dwóch Bogów, tak zaciętą w sercu mojem ścierających walkę, raz już zakończy się śmiercią jednego z współzawodników!..

To powiedziawszy wstał.— Z resztą dodał stłumionym głosem; przed sześciu miesiącami mogłem się jeszcze namyślać, dziś, nie mam już prawa się wachać. O tak pani! mam teraz bardzo ważny powód wstąpie-

nia do Trapistów, a powodu tego nie mogę pani wyjawić....

Usta i ręce jego drżały; nie chcąc pokazać żem go zrozumiała, pochyliłam się do kominka, aby poprawić osuwającą się głownię. Słuchając jego wyznań machinalnie rozwiązałam kokardę od rękawka i bawiłam się wstążką, wstając do kominka upuściłam wstążkę na posadzkę; pan Dolfin poskoczył, podniósł wstążkę i miał schować ją przy sercu.

— Cóż pan z nią będziesz robił w klasztorze? zapytałam z uśmiechem.

Rzucił na mnie wyzywające, pełne wyrzutu spojrzenie; z głową w tył odrzuconą, błyszczącem okiem, drgającemi usty, miał zarazem jakąś uroczą i dziką postać; potem spojrzał smutnie na wstążkę, i już miał mi ją zwrócić, gdy nagle ośmielając się przycisnął ją gwałtownie do ust, i uderzając się w czoło zawołał:

— Biedny! biedny ja szaleniec! i wybiegł śpiesznie zapominając nawet pożegnać się ze mną.

XVII.

W kilka godzin po téj rozmowie odebrałam list następujący:

„Moja droga, przysięgłam że zapomnę o tobie, dotąd tego nie dokazałam; nie cierpiałam cię przez rok cały, od trzech dni znowu przyjaźniejsze uczucia rozkwitły w sercu mojem; żałuję cię; czuję że to słabość, i tem się tylko pocieszam, że wszyscy mamy swoje słabości. Ty naprzykład, błądząc samotnie po swym odwiecznym zameczysku, oskarżasz mnie zapewnie że jestem przyczyną twych nieszczęść. Cóż za szaleństwo! Wyswatałam cię, to prawda; lecz czyż to moja wina żeś mnie słuchać nie chciała, żeś lekceważyła moje rady? Jakże ci się teraz wydaje ten zaczarowany zamek, w którym zamierzyłaś spędzić życie w błogich zachwytach wzajemnéj miłości? Prawdziwie lękam się abyś nie dostała czarnéj melancholji. Co do mnie, przysięgam, że gdybym tylko jedną zimę przepędziła w Ferjeux, dostałabym tak gwałtownéj waryacji, żeby mnie wiązać musieli. Przekonałam się, że Ferjeux jest szkaradnym, zaklętym zakątem ziemi, i cieszę się z tego odkrycia, bo postanowiłam nie wracać tam więcéj, i przepędziłam lato w ślicznym domku nad brzegiem Oceanu. Domek ten można przewozić i na przyszłe lato zabiorę go z sobą znów w inną gdzie stronę, jeśli tylko przed tem nie sprzedam go lub nie daruję komu. Kto chce być szczęśliwym na tym świecie nie powinien przywiązywać się do niczego.

Radzę ci, moja droga, przybywaj co prędzéj do Paryża; wierz mi, zmartwienia tylko w Paryżu są znośne; stroje, wizyty, bale tak wiele zajmują czasu, że smucić się nie ma kiedy i łatwiéj doczekać jutra. Powiedz mi też, moja śliczna, jak się ty ubierasz? Pewna jestem, że nosisz włosy podług mody upowszechnionéj w owych czasach kiedy królowa Berta zajmowała się przędzeniem. Czy wiesz przynajmniéj jakie dziś kapelusze noszą? Nie ma u nich rondek i karczków, nic prawie, ale jak przypną to i owo tak zrobią coś podobne do do kapelusza.

Ale czy też domyślasz się co tu mówią powszechnie? Powiadają że zbytnią sentymentalnością znudziłaś Maxa, że spostrzegłszy to oburzyłaś się przeciwko niemu, że to spowodowało jego wyjazd. Powiadam ci moje serce, że jesteś romantyczna jak Niemka, wzdychasz do księżyca, a trzeba ci wiedzieć, że księżyc już wyszedł z mody.

Żałuję że księżnéj C..... nie ma w Paryżu, widziała cię w przeszłéj jesieni, mogłaby mi udzielić pewniejszych wiadomości. Starałam się dowiedzieć czegoś od Maxa, ale z nim nie tak łatwa sprawa; powiedział mi tylko z szyderczym uśmiechem, że nie ma na całym świecie rozsądniejszéj od ciebie kobiety, że posiadasz wysoką znajomość życia, że kazałaś mu podpisać traktat wzajemnéj tolerancji, nie dopuszczający żadnych zastrzeżeń i ograniczeń. Osłupiałam z zadziwienia. Ach! jakże nietrafnie postąpiłaś sobie, i jak dziwaczne niedorzeczności popełniać jesteś zdolna w chwilach rozdrażnienia!

Muszę ci też, moja miła, powiedzieć kazanie. W tych dniach mówił nam ojciec Feliks, że uczciwa kobieta powinna być zadowoloną jeśli mąż nie bije jéj, nie łaje ciągle i zaopatruje jéj potrzeby.... Ale nie, to nie ojciec Feliks to powiedział, wyczytałam to wszystko w jakimś odwiecznym romansie, długim jak noc grudniowa, który czytuje wieczorem aby usnąć prędzéj. Otóż jeśli się znajdzie kobieta któréj to jeszcze nie wystarcza, w takim razie cicho, powoli wysuwa się bocznemi schodami i tym sposobem odzyskuje wolność; ale nie pisze kontraktów przed rejentem, a nadewszystko nie rzuca tego co ma, zanim znajdzie coś lepszego. Doprawdy są chwile w których z przyjemnością wybiłabym cię. Oh! jakże znać w tobie wychowankę antykwarjusza, rozwijającą się wśród sosnowych lasów! Wilki i naczynia greckie nie nauczyły cię, że cała umiejętność życia zależy na zachowaniu pewnych pozorów i poprzestawaniu na innych. I to już wszystko? Tak wszystko. Ależ grunt rzeczy?... Ja co to mówię, zaręczam, że próżno go szukać, czego nie ma, tego nikt nie znajdzie. Odkryłam ci tajemnicę; staraj się z niéj korzystać.

„Powiedz sama jaką korzyść przyniosły ci twoje wyskoki? Może wyobrażasz sobie, że Max smutny i blady, bije się w piersi żałując za swe przewinienia; o! jakże się mylisz! Max odmłodniał przynajmniéj o lat dziesięć, Max powrócił do dawnych swych niegodziwości, powiadają że Max ma zadziwiające powodzenie. Mówią o jakiejś księżniczce teatralnéj; rozeszła się nawet wieść o pewnéj awanturze... dosyć zabawnéj, ale któréj się nie dowiesz jeśli nie przyjedziesz do mnie.

Piszę o wszystkiem otwarcie, bo prawdę mówiąc chciałabym cię wzruszyć choć trochę; gdybyś się mogła przynajmniéj otrząsnąć z téj jakiéjś dziwnéj obojętności. Bądź pewną że te wszystkie gniewy i dąsy do niczego nie doprowadzą, otrzéj więc oczy i przybywaj jak najprędzéj. Przyjedziesz do mnie ukradkiem, i mówiąc nawiasem, zobaczysz przy téj sposobności, prześliczny stoliczek, który ci się z pewnością podoba. Schowam cię w wielkiéj szafie, udzielę zdrowéj rady, pocieszę, utuczę, ufryzuję, ustroję, i pewnego pięknego poranku, kiedy będziesz równie jak dawniéj świeżą i zachwycającą, sprowadzę tego szkaradnego potwora, który rumieniąc się za swe ciężkie przewinienia, do nóg twych upadnie.

(d. c. n.)
